Nr. 51. We Lwowie dnia 20. grudnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

El...y.

(Odczyt J. Kasprowicza na wieczorku Asnyka).

II.

Ale wychodząc poza granice tej *evolution du moi,* którą w Mussecie i Heinem tak świetnych znalazła wyznawców, czyż poeta pozbył się na zawsze w liryce swej duszy tych drgań własnego »ja« na widok zwykłych dotkliwości życiowych, dających się temu »ja« we znaki? — Nie mówię o jasnych stronach tej doli powszedniej, bo ta mało bardzo miejsca zajmuje w przepełnionej skargą i żalem pieśni Asnykowskiej. —

Nie!... »Odtrącił od siebie daleko samolubną boleść,« a natomiast »wszystkie nędze ludzkie i rozpacze« zamknął w swem sercu i im poświęcił tony swej lutni, mimo to jednak osobisty motyw wraca od czasu do czasu w jego lirycznych wylewach, a wraca nieraz z taką siłą, że poeta upada »zmęczony na ziemię, odkrywając rany, które krył«. Motyw ten wraca atoli czystszy, powiedziałbym — szczerszy, aniżeli to było w utworach z epoki, w której El...y, zacząwszy sceptycznie spoglądać na wielkie wysiłki świata, prawie się dostrajał do wymagań płytkiej, żadnych gwałtowniejszych wstrząśnień nie znoszącej publiczności.

To dostrajanie się zjednało mu też liczne koło czytelników, a jeszcze liczniejsze grono czytelniczek, uczyniło imię jego popularnem i dziś jeszcze — śmiało twierdzić można — przeważna ich część bardziej jest obeznaną z jego ulotnymi, zachwyty i cierpienia miłosne opiewającymi lub — co prawda, w sposób bardzo wdzięczny — przedrzeźniającymi wierszykami, aniżeli z tymi imponująco głębokimi utworami o zakroju filozoficznym, czy narodowo-społecznym, których pozazdrościć nam może każde piśmiennictwo, a które są istotną treścią wielkich zasług Asnyka, istotną przyczyną, że imię jego błyszczeć będzie obok najświetniejszych gwiazd na horyzoncie umysłowości naszej.

W egotycznych wylewach muzy El...y'ego pierwsze miejsce — pod względem liczby poświęconych jej utworów — należy się miłości. A jakąż jest ta miłość, ta, jak mówi któryś z poetów, największa potęga na świecie?

Przedewszystkiem nie jest ona u El...y'ego potęgą.

Niema w niej tego ogromu uszlachetniającej siły, która sprawiła, że Dante, w mistycznej ekstazie podniósłszy Beatryczę swoją do wyżyn wspaniałego pojęcia etycznego, nadał jej charakter symbolu nadziemskiej świętości, mającej prawo spoglądać w jasność bożą na równi z aniołami i Ma yją.

Niema w niej, rzekłbym, tej dziwnie przejmującej, Dantemu podobnej pobożności uczucia, która idealnem tchnieniem wypełnia głębię nieskomplikowanych pieśni Zygmunta Krasińskiego. Nie ma tęsknoty za tym aniołem, któryby mu »czasem zaśpiewał o kochance«, coby »stojąc na grobie jego pogrzebanych snów, rzucił schyloną pochodnią swoją kilka iskier na przyszłości fale i blaskiem chwały ozłocił jego żale«.

Niema w niej nareszcie tego pierwiastka naiwno-szczerej zmysłowości, spotykanej w niektórych sonetach Mickiewicza.

Pomimo pozorów bolu z powodu utraconej kochanki, rozsianych w ślicznych pod względem kunsztu pisarskiego poemacikach, miłość ta sprawia przeważnie wrażenie, jakby graniczyła nieomal z flirtem. Zmysłowość tych cacek nie wypływa z głębi istotnego uczucia; miłość ta nie jest pragnieniem, które dwoje ludzi łączy na śmierć lub życie nie dla pieszczot, ale dla wspólnego dążenia do idealniejszych celów bytu, jak to widzimy choćby u Shelley'a. Jest to bawienie się namiętnostką, posiadającą nawet pewien odcień lubieżności.

Pod oknem kochanki wyrasta krzak róży i przeszkadza poecie zaglądać — do buduaru zapewne, a tylko drażni jego ciekawość i pobudza wyobraźnię. Kwiecie róży przypomina mu kar-

minowe usteczka ukochanej, a właściwie pożądanej. A gdy księżyc oświeci srebrem listki krzaku, to zdaje się »marzycielowi«, jakgdyby widział senne lica swej damy. I oto powstaje w nim chęć całowania jej »włosów jedwabnych« chęć zdeptania tej róży. Ale jak dobrze wychowanego, uczucia swoje na wodzy trzymającego salonowca, od tej ryzykownej imprezy powstrzymuje go obawa, ażeby przypadkiem Dulcinea śmiałości takiej za złe mu nie wzięła.

Przypominam treść wierszyka, ponieważ oddaje znakomicie charakter erotyków Asnykowskich.

Pomimo zapewnień poety, że »Eros zawstydzi się blady przed jego pragnień pożarem«, pomimo twierdzeń, wypowiedzianych w myśl Anakreonta, że w pocałunku »roztopi ducha dzielność«, pomimo rady, udzielonej młodzieńcowi, ażeby »zamiast w mglistych czystych snów przeźroczu kąpać duszę bogobojnie« starał się o względy dziewczyny, śmiało patrzał jej w oczy, ściskał jej dłoń i całował jej usta, nie podobna w miłości tej dopatrzeć się czegoś więcej ponad konwencjonalizm zmysłowy, nie podobna przyznać jej mocy elementarnego wybuchu.

Zamiast dyszeć uczuciem, jest ona przeważnie czułostkową: nachyla się w księżycowym nastroju nad liljami wodnemi, zrywa gałązki jaśminu; opłakując rozłączenie, staje nad trumną dziewicy z słowami sentymentalnego filozofowania.

Jest naiwną, ale naiwność jej nie posiada również tak wybitnych cech pierwotności, jak u Lenartowicza, a nawet Zaleskiego. Do naiwności tej przyplątuje się zbyt wyszukany, zbyt »poetycki« sposób myślenia, jak choćby w ślicznej zresztą »Przebudzonej«, która pragnie »słodko marzyć, patrząc się w oczy«, ale równocześnie chciałaby »całą jasność i piękność ziemi zabrać na własność sercami swemi i skryć w błękicie wszystko radośne«.

A już przestaje być naiwnością tam, gdzie poza niewinnemi słówkami kryją się przebłyski zwyczajnego pożądania — jak chociażby w owej »Róży«.

Miłość więc w lirykach El...y'ego, choć stworzyła kilka, jak »chóry anielskie« cudownych dźwięków, kilka, jak »tęsknota«, melancholijnych powiewów, choć nad odmalowanie zmysłowego uroku swego znalazła tyle tęczowych barw, ile miała unosząca się nad ziemią starożytna bogini Cheldejczyków, to przecież nie wielka, płomienna namiętność duszy poety, to raczej, ogółem wziąwszy, salonowa miłostka, na której dnie może się i znajduje odrobina istotnego uczucia, ale uczucie to nie posiada dostatecznej mocy do wypełnienia sobą każdej żyły, do poruszenia, do rozgrania każdej fibry w człowieku.

Miłość taka ani nie podnosi, ani nie łamie. Miłość taka sprawia, że »przejęty« nią potrafi wpiąć sobie kwiat niezabudki w butonierkę fraka i tak dawniejszą kochankę swoją prowadzić, jako drużba, do ołtarza z innym. Jest to »sen miłości«, który pierzcha zbyt prędko, ażeby niezatarte w sercu pozostawić ślady. Miłość taka wywołuje kilka słodkich chwil w życiu, gdy wzajemna, a uśmiech lekkiej ironji lub sarkazmu, gdy druga strona oszukała się na niej, gdy względy salonowe czy przyrodzona płytkość ducha nie pozwolą jej odpowiedzieć życzeniom starającego się o nią.

Poeta szukał miłości tej w buduarze, śród dam, z »czarownym wykwitem uśmiechu, z załzawionemi oczyma pieszczących pieska« (»Spóźniona odpowiedź«), nie dziw więc, iż przyszło — zapewne bardzo wcześnie — do tego, że »dla dam« miał, zamiast uczuć — karmelki.

Rzecz dziwna, a może w tych warunkach nie dziwna, że pieśniarz, pod względem zdolności wnikania w przyrodę, w tajemniczego, a potężnego jej ducha, prawie że nie ustępujący, jak to wykazał w wrażeniach tatrzańskich, lub w sonetach »Nad głębiami«, Shelley'owi, którego »Chmurę« tak cudownie przyswoił literaturze naszej, nie umiał w erotykach, pomimo przeciwnie świadczących pozorów, zlać miłości swojej z miłością wszechświata, nie umiał stworzyć tego panteistycznego skojarzenia uczuć swej jaźni z uczuciem powszechności, co zdaniem — jeżeli się nie mylę — Tarde'a — jest ostatniem słowem poezji.

»Najpiękniejszych piosnek nauczyła go dziewczyna« — zapewnia El...y w jednem miejscu — »bo mistrzem mu były, jej harmonijne usteczka«. My byśmy powiedzieli, że poeta przecenił wpływ tych usteczek. Najpiękniejszych, najczarowniejszych, najwznioślejszych pieśni, źródło niezgasłej jego chwały, nauczyła go Przyroda, nauczyła go myśl, zrodzona z duszy walczącej ludzkości, nauczyło go cierpienie ziemi ojczystej.

Egotyczne uczucie, podobne w erotykach do kwiatu, wyhodowanego w atmosferze cieplarnianej, posiada natomiast woń i barwę prawdy w szeregu innych utworów, które nie tyle dla ich pysznego artystycznego kształtu, ile dla pierwotnej szczeroty ich treści do najpiękniejszych zaliczyć wypada.

Żale za utraconą wiarą dziecięcą, na miejscu której w »duszy zburzonym kościele« została straszna pustka i samotność, wypłakuje poeta »pod stopami krzyża«. Serce jego napełnia się pokorą i błogą ufnością, że jako jeden z cierpiących nie będzie odepchnięty od zakrwawionych ramion Chrystusowych. Macierzyńskie ciepło domowego ogniska błogosławi, rozpływając się w słodkich wspomnieniach chwil młodocianych, w rodzinnem przeżytych mieście; a w elegijnym »Powrocie do domu« klęka z niewysłowioną żałobą przy drogiej mogile — z żałobą i boleścią tak głęboką, tak serdeczną, że pod jej ciśnieniem łza uwięzła pod powieką, jęk nie miał mocy wydobyć się z piersi. »Echa kołyski« zabijają w nim prostotą i szczerością swoją pogardę i nienawiść ludzi, którą w nim gorzkie wyrobiło

życie, każą mu wierzyć w prawdę, cnotę i piękno, jako niewygasające nigdy w ognisku ludzkości dobroczynne, zbawcze płomienie. Miniona młodość, a z nią wizja szczerszej, aniżeli buduarowe damy, istoty, szczerszej, bo nie budzącej w nim sceptycznego podrwiewania, staje mu przed oczy na widok astr jesiennych, księżycem oblanych, a melancholijna tęsknota do drobnostki — do jednego serca, jednych ust, dwojga oczu i rąk białych dwojga, owiewa nas jak oddech z nieszczęśliwej, a szlachetnej piersi, w sonecie, który należałby może do erotyków, ale który ze względu na odmienną, istotnem uczuciem napojoną treść zasługuje na wyłączenie go z kategorji sentymentalnych, pseudo-naiwnych lub ironicznych, niezdrowej narkozy pełnych wynurzeń.

»Ach! jak mi smutno!« woła w innym wierszu, w którym również czuć, że łono poety prawdziwa rozdziera boleść, a ton łagodności rezygnacji, pogodzenia się z losem, przemawia nie z tych pesymistycznych, bajronicznych zapewnień, że »nie ma boleści, coby go trwożyła, bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzy«, — ale z owej chęci, aby się zejść z życiem szlachetnem i młodem, co »jak bluszcz swoją latorośl przeciska do słonecznego światła — przez zwaliska«. Rezygnacja ta przemawia z owych, altruistycznej mocy pełnych, serce człowieka uszlachetniających wyrazów, że »zdrój czystych uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą«. Przemawia z owej melodyjnej wreszcie apostrofy: »Ucisz się serce! — swoich strat już nie opłakuj stroskane; ale wschodzący pozdrów świat i jego jutrznie różane. Błogosław nowym życia dniom, temu, co wschodzi i rośnie, świeżym nadziejom, świeżym snom, świeżej młodości i wiośnie«. (Dok. nast.)

O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Dokończenie).

Każda istota organiczna, która wchodzi do danego związku społecznego, jako cząstka składowa, stanowi jeden z jego elementów, rozwój takowych pierwiastków jest w dalszym ciągu warunkowany już nietylko czynnikami ogólno-organicznymi lub kosmicznymi, ale i czynnikami społecznymi. Każdy element socjalny danego związku społecznego uważać można jako rezultat działalności społeczeństwa wespół z naturą je otaczającą. W nich i wraz z niemi odbywa każdy członek danego towarzystwa szereg zmian w tym lub owym kierunku, bądź postępowym, bądź wstecznym. Ale i same pierwiastki oddziaływają ze swej strony na rozwój społeczeństwa rozpatrywanego, jako jednostka wyższego rzędu, i przyczyniają się raz do jego postępu, drugi raz do jego upadku. Niewolnictwo np. w stowarzyszeniach mrówczych i w społeczeństwach ludzkich spowodowało ich degradację i upadek; ucisk jednej części społeczeństwa przez drugą — upadla i unikczemnia albo obie strony, czyli całą społeczność, albo warunkuje głównie zwyrodnienie samych tylko ciemiężycieli. Psy, konie, bydło rogate i nierogate, nawet pszczoły, a w ogóle mówiąc wszystkie zwierzęta udomowione, tak dobrze jak i rośliny hodowane, odegrywały albo odegrywają dzisiaj jeszcze role ważne w uspołecznieniu stowarzyszeń ludzkich; zmieniając się same wskutek hodowli i udomowienia, przyczyniały się i przyczyniają dotąd w znacznej mierze do rozwoju ludzkości.

Mężczyźni i kobiety danej jednostki socjologicznej w stowarzyszeniach ludzkich są wyrazem warunków bytu i obecnych i przeszłych w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Po osobnikach pewnego społeczeństwa i za ich pośrednictwem odczytuje etnolog dzieje przeszłości zamierzchłej, o której ludy same najmniejszej nie mają już dzisiaj świadomości. Przysłowie, znane powszechnie słusznie określa fakt rzeczony, gdy twierdzi, że oskrobaj tylko wierzchnią ogładę towarzyską pewnego rodzaju dżentlemenów, a znajdziesz pod nią mongołów i tak jest w rzeczywistości, bo w nawarstwowaniach fizycznych, albo psychicznych, zalegających w organizmach tak pojedyńczych osobników, jak i społeczeństw, spoczywa cała przeszłość ich dziejowa. Otóż umieć poznać i dokładnie określić skamieliny duchowe i fizyczne, zaległe w tych nawarstwowaniach, będzie zadaniem etnologji, która to nauka jest tem dla dziejów ludzkości, czem jest paleontologja dla dziejów państwa zwierzęcego.

Na tle uwag ogólnych, wypowiedzianych powyżej, w ramach zakreślonych artykułem niniejszym, postaram się w drugiej jego części odtworzyć, chociażby w pobieżnych zarysach tylko, koleje rozwoju, jakie przechodziły kobiecość i męskość, aż stanęły na poziomie chwili obecnej.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

8)

(Ciąg dalszy).

— Zuch baba! Z miasta przywiozę ci gościniec. A teraz rozpal ogień, żeby odzież wysuszyć. Do wody wpadłem. W domu dziecko obudzę.

— Aj — ka — byn! — klasnęła w dłonie Jakutka, gdy przy świetle ognia zobaczyła Aleksandra przemokłego i lodem pokrytego.

— Niemożebnie zuchwały jesteś, cudzoziemcze! Któż z ludzi odważy się przechodzić rzekę w noc tak ciemną!

Aleksander uśmiechnął się dumnie.

VI.

Wiele trudu miał Aleksander z poskromieniem Wronego i włożeniem go do pługa. Koń rzucał się, spinał; straszył go nieznany przyrząd, ruch kół, szelest ziemi, a opór zagłębiającego się w rolę żelaza podniecał. Drżał, pienił się, stawał dęba, kilka razy złamał narzędzie. Aleksander nie miał nikogo do pomocy, gdyż nawet Żabie Oko stronił od niego od czasu zaboru ziemi Kapitonowej. Zosia i Ajaks, jedyni świadkowie jego usiłowań, zwiększali tylko zamieszanie. Dziecko krzyczało: — Ojcze, ojcze! on cię zabije! — i rzewnie płakało, zakrywszy twarzyczkę rączkami, a pies wściekle szczekał na nieposłusznego konia. Musiał więc oboje zamknąć w domu; lecz oglądał się często i za każdym razem widział twarzyczkę swej dziecinki przyciśniętą do szyby — i to go krzepiło. Wreszcie po licznych próbach, oprowadzaniach, zaprzęganiach i wyprzęganiach Wrony zrozumiał, o co chodzi i zaczął iść bruzdą prosto i równo. Jakuci, mieszkający w tej miejscowości, nie orzą ziemi w jesieni, tylko przed samym siewem. Aleksander postanowił zrobić na pierwszy raz, jak krajowcy. Zaorał kawał roli najbliższy swej jurty, na wzgórku, gdzie były ślady starej uprawy. Ziemia zdawała się dobra i dość pulchna. Obecność niektórych roślin była dowodem jej urodzajności. Aleksander marzył zająć z czasem całe wzgórze, gdzie było ze cztery dziesięciny ziemi gliniastej, ale na ten raz za mało miał czasu i ziarna, więc poprzestał na kilkuset sążniach. Dzień jeden przeczekał aby rola obeschła i wziął się do siewu.

Lody na rzece ruszyły już z trzaskiem — szły na północ, druzgocząc się i piętrząc. Po dolinie, to ozłoconej słońcem, to ocienionej chmurami hulał wietrzyk, przelatywały wrzaskliwe stada wędrownego ptactwa. Co chwila rozlegało się w powietrzu gęganie gęsi, krzyki mew, głosy żórawi. Ogromne pułki kaczek przelatywały w milczeniu, szumiąc tylko skrzydłami, jak mgliste obrazy płynęły pary łabędzi, ciche i spokojne. Na łąkach, na błotach, na jeziorach śpiewały, nawoływały się świstem, gdakaniem chóry kulików, pływek i drobnych kaczek. Na suchych, wysokich tokowiskach wyprawiały harce polne koguty; w borze kukała kukułka.

Aleksander ostrożnie usypał ziarna z worka, który postawił na brzegu roli. Był wzruszony, ręce mu drżały. Spojrzał w niebo, chciał się przeżegnać i machinalnie zdjął czapkę. Zaczynał więc nowe życie! Dobre, czy złe, zawsze ono miało być inne. Wszyscy mieszkańcy jurty byli obecni przy tej uroczystości. W pobliżu szarego, płóciennego worka stała Zosia, niewiele od niego większa, w słomianym kapelusiku, z pękiem złocistych, jakuckich pierwiosnków w ręku. Obok usadowił się Ajaks i zwiesiwszy uszy, przyglądał się bacznie temu, co pan robił, nawet Wrony, zaprzężony do brony, zwracał ku niemu swą rozumną głowę, chrapał zlekka i strzygł uszami, zdziwiony niezwykłością ruchów Aleksandra. Ten rzucał zboże pełnemi garściami. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą: pierwszy rzut był za silny, drugi za słaby, trzecią garść wiatr uniósł na miejsce już zasiane. Potworzyły się przerwy, zgęszczenia, które Aleksander nadaremnie silił się poprawić; napróżno starał się. ziarno nie słuchało niewprawnej ręki. Podrażniony, zmęczony strasznie, umyślił nakoniec zrobić próbę z piaskiem, aby nie zmarnować ostatecznie pola i nasienia. Silił się przypomnieć sobie, jakto bywało w ojczyźnie, gdy szli chłopi, czerpali ziarno z fartucha i rzucali... krok jeden i garść leciała półkolem na prawo, drugi — półkolem na lewo. Raz, dwa... raz, dwa! Kilka razy przeszedł tak pole, siejąc piasek, aż uczuł, że nabrał pewnej swobody w ruchach; nie zdążył jednak zasiać ziarnem do połowy, gdy dostrzegł trzech jeźdźców na przeciwnym brzegu jeziora. Przodem jechał jeden, za nim dwóch na jednym koniu. U jurty Żabiego Oka przeprawili się w bród i skierowali wprost na niego. Aleksander poznał Kapitona z synem i parobkiem. Na wszelki wypadek zarzucił na plecy broń, którą był zostawił około worka. Jakuci na roli zleźli z koni; zdawali się mieć tylko zwykłe noże za pasem. Robotnik jednak słynął jako awanturnik i największy siłacz w całej okolicy.

— Kapsie! — powitał go ostrożnie Kapiton.

— Kapsie!

— Co robisz, cudzoziemcze? Doprawdy na mojej ziemi siejesz! Przecież ona cudza! Gmina ci jej nie dała. Sam słyszałeś, powiedziała: nie dam! Moja jest, a ja według prawa ustąpić ci jej nie mogę.

— Ja też według prawa.. Mówiłem wam: nie dacie, sam wezmę. Skarz mię do sądu. Tyle lat nie siałeś tutaj; niepotrzebna ci.

— Czy potrzebna, czy nie — niech cię głowa nie boli. Nie dam, gdyż nie mam obowiązku odpowiadać za całą gminę. Wynoś się!

— Wstydź, się stary! Czyż dużo zabrałem ci ziemi? kiedyś odejdę, oddam ci ją w lepszym stanie, niż wziąłem.

— Twego mi nie trzeba, a swego nie dam. A wstydzić się nie mam czego: nie ukradłem, ani cudzego sobie nie przywłaszczyłem. Wynoś się, wynoś po dobrej woli.

Aleksander wzruszył ramionami i odwrócił się siać dalej.

Jakuci zastąpili mu drogę.

— Ani się waż! Ty przemocą, to i my przemocą.

— Oszalałeś, stary!... Ustąp z pola natychmiast!... Nie przeszkadzaj. Mówiłem ci, że możesz się skarżyć

— To swoją drogą, a dać nie dam! — Wyciągnął rękę do brzozowego wiaderka, w którem Aleksander niósł zboże.

— Ej, Bahyłej, — krzyknął na parobka — zabieraj worek!

Bahyłej oddał cugle małemu synkowi Kapitona.

Aleksander pobladł i wziął broń do ręki.

— Słuchaj stary, nie trać rozumu, nie szalej. Ja zboże zasieję, choćbyś, Bóg wie, co dokazywał. Twierdzisz, że gmina nie kazała ci gruntu dawać. Dobrze, ja ci arendę zapłacę, a potem ją od gminy odbiorę. Zapłacę ile każe. zasiedatiel. A teraz wynoś się! Zboże zasieję, choćbyś na głowie stawał.

— Po co mam na głowie stawać! My też podatki płacimy, ludzie jesteśmy. Pieniądze nie my od ciebie, ale ty od nas bierzesz... Obca krosto!... Rozsypię ci nasiona i koniec!...

Wyciągnął groźnie nogę do worka, ale Aleksander odtrącił ją w mgnieniu oka mocnem kopnięciem. Jakut zachwiał się silnie.

— Patrzcie, patrzcie!... Bić się waży!... Tatarskiego musi być pochodzenia.

— Wynoście się! Grunt koło mego domu, więc mój! — krzyknął Aleksander i stuknął strzelbą o ziemię. Czarne jego oczy rzucały błyskawice; żyły na skroniach krwią mu nabiegły.

— Precz!

Jakuci cofnęli się i zbili w gromadkę przy koniach, ale nie myśleli odjeżdżać. Położenie stawało się kłopotliwe. Stać i pilnować ich nie chciał, pracować zaś w dalszym ciągu nie mógł, gdyż na pewno zabraliby mu worek z ziarnem. Jakuci odgadli jego wahanie.

— Nocować ot tu, w polu, będziemy, a swego nie damy!... U — u — u! przeklęty rozbójnik!... Patrzy, jakby gwoździe wbijał.

— Ajaks!... Ajaks, pójdź tu! — świsnął nagle na psa, wybiegającego z gaju. Zosia wysunęła się też na brzeg zarośli i ciekawie przypatrywała się ludziom. Pies rzucił się do niego, jak strzała.

— Ajaks, waruj tu!... Nie daj ruszać!... — Zostawił psa przy worku, a sam siać poszedł.

Jakuci z nietajonym strachem spoglądali na duży kosmaty łeb zwierzęcia groźnie ku n m zwrócony i na oddalającą się postać Aleksandra. Żółte oczy straszydła śledziły bacznie za każdym ich ruchem, a czarna, obwisła warga drgała i unosiła się spazmatycznie, pokazując białe zęby.

Aleksander oddalał się coraz więcej. Jakuci wsiedli na koń i pojechali za nim.

— Psem nas szczuć umyśliłeś!... Siej, siej, Liksandra, ale zbierać nie będziesz!.. Nie twoje doczekanie!... — krzyknął Kapiton, zawracając na ścieżkę.

Nie spuszczał z nich oka, póki okrążali jezioro; oni też często oglądali się, raz nawet zatrzymali konie, rozmawiali długo, wskazując sobie rękami jego sadybę. Przed domostwem Żabiego Oka zsiedli i weszli do izby.

— Tchórze! Nic mi nie zrobią! Nie ośmielą się... — szepnął Aleksander. — Idź do domu, córeczko! Bądź grzeczna i idź do domu! Wrony bać się was będzie. Idź i zabierz Ajaksa — namawiał Zosię.

— Przychodzili Jakuci?... Źli przychodzili, czy dobrzy?... Ziemi nie dają Jakuci? — pytało dziecko, zaglądając w stroskaną twarz ojca.

— Idź, idź do domu, mówię ci!... Ajaks, do domu!

Niechętnie odeszli oboje. Aleksander zaprzągł konia do brony i ostrożnie zaczął go uczyć, prowadząc za trendzlę.

Raz obszedł pole i zrobił przerwę. Było już popołudnie i słońce strasznie piekło. Ptaki nawet umilkły i pokryły się. Dokuczało mu pragnienie, Zosia wołała od progu, że chce jeść; poszedł więc przyrządzić jedzenie Po obiedzie wrócił na pole i pracował do późnego wieczora.

Słońce zaszło. Zmęczony koń poruszał się leniwie, trzeba go było pobudzać lejcami i głosem. Aleksander czuł się ogromnie znużonym od jednostajnego kręcenia się po małej przestrzeni.

Od rzeki wionęło chłodem; żelazne zęby brony zaczęły stukać o lodowate podścielisko gruntu, który z ustąpieniem słońca szybko zamarzał. Wilgotna przedtem ziemia stężała. Czas było wypocząć, zgotować wieczerzę, nakarmić i spać położyć dziecko.

Aleksander wyprzągł konia i poprowadził do domu. Chciał zostawić bronę na polu, gdyż nie miał ochoty dźwigać ciężkiego narzędzia na plecach, lecz widok osiodłanego konia, stojącego u jurty Żabiego Oka, kazał mu mieć się na baczności.

Gdy, po wielu zachodach i trudach, siadł wreszcie z dzieckiem przy stole, a pies położył mu się u nóg, czuł, że spokój i zadowolenie wracają do jego duszy. Był to dla niego pierwszy dzień prawdziwej pracy. Poraz pierwszy w życiu dotknął się samego łona ziemi karmicielki, nie mając między nią i sobą pośredników.

— Jedz, córko, mówił, krając gorący podpłomyk i nalewając aromatyczną herbatę. — Będziemy mieli niedługo własny placek.

— Czy z masłem?

— Może i z masłem.

Ogień wesoło palił się na kominie, złotymi błyskami muskał pochyłe ściany; Ajaks, zasiadłszy przed nim na tylnych łapach, poważnie pilnował gotującej się dla niego wieczerzy.

Aleksandra ogarniało niepokonane pragnienie spoczynku. — Oczy mu się kleiły, ręce opadały bezwładnie. Miał jednak jeszcze dużo do

zrobienia: trzeba było Zosię rozebrać, bo spała, biedactwo, położywszy główkę na rączkach, Ajaksa i wronego nakarmić, naczynia pomyć.

— Ojcze... ojczulku!... moje kwiatki... to zamiast lalki... pozwól im spać zemną... — szczebiotało, zasypiając dziecko. Odszukał więc i położył obok niej na poduszce bukiet, związany gałgankami.

Koń był jeszcze zgrzany; nie mógł go więc nakarmić, musiał czekać aż zupełnie obeschnie. Biedne zwierzę, zmęczone i głodne, rżało cicho i błagalnie, gdy rzucał siano do okólnika.

Praca na chłodnem powietrzu orzeźwiła Aleksandra. Wieczór był cichy, rosa padała obficie. Purpurowa zorza zalała przejrzysty strop nieba, kładąc na wszystko gorące swe tony. Zapałały od nich i sina dal, i czarny las, i tumany ponad łąkami, i obłoki, nieruchomo wiszące nad przepaścią Ałdanu i lody w tej przepaści spiętrzone, łoskoczące niedawno, a teraz jakby nagłym snem zdjęte. Para kaczek przeleciała nad doliną i spadła w pobliskie zarośla. Myśliwskie ucho Aleksandra łowiło dolatujące stamtąd głosy: gęganie gęsi i stłumiony namiętny gwar innego ptactwa. Tam wody wiosenne tworzyły rok rocznie małe jeziorko, gęsto zarosłe łoziną — ulubione miejsce noclegu wędrownego ptactwa.

Po chwili wahania uchwycił za broń i ruszył nad wody. Miał on tam myśliwską kryjówkę — ogromną tarczę z rozczochranych korzeni drzewa, przyniesionego przez wielki wylew wody. Podkradłszy się cicho, siedział osłonięty ich cieniem, ale nic nie mógł dostrzedz prócz czarnej powierzchni jeziora, połyskującej smugami srebra, purpury i fioletu, szarej sieci łóz i kęp wysokiego przeszłorocznego szuwaru. Tam to rozlegały się głosy, pluskała woda i poruszały gałązki, dając znać jak liczne kryły się w nich skrzydlate zastępy. Istotnie, kaczek było mrowie, ale wszystkie trzymały się w cieniu, zdala od podejrzanego pnia. Po długiem czekaniu ukazała się nakoniec jakaś bardziej nieostrożna, czy zakochana para. Aleksander poczekał aż obie kaczki w jedną zbiegły się linję i strzelił. Podniosła się nieopisana wrzawa. Zerwały się stada kaczek, kwacząc przerażone, białe czajki z płaczliwem kwileniem wzbiły się w górę, z sąsiedniej wydmy podniosła się chmura gęsi, łopocząc skrzydłami.

— Gęsi... gęsi... — szeptał Aleksander, pospiesznie nabijając broń. Wydobył z wody zabite kaczki i nieruchomo legł za pniem.

(C. d. n.).

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

III.

Słońce – wielkie, jaskrawe – leje na ziemię potoki ślepiącego światła, a na niebie potrójną maluje tęczę. Barwna, świetna, wspaniała łączy ona szczyty oddalonych gór bajecznym łukiem trjumfalnym. Gromadka dzieci przygląda się świetlnemu zjawisku. Różowe, śliczne buziaki Marynek, Haniczek, Janków i Pauluków promienieją zachwytem. Ich wielkie błyszczące oczy nie mogą się oderwać od krasnej bandli.

— Widzom? Trzy, o, trzy dągi![1]) — wołają, koszkając w backi.[2])

Ale nie wszyscy podzielają radość małych zuchów. Gazdowie, którzy zaczęli właśnie kosić wonne, soczyste swe młaki[3]), usiane gwiazdami kralków[4]) amarantowe od smukłych kit czerwienych zwonków[5]), — gazdowie nie mają z czego się cieszyć.

— Dąga pije s potuczka i ciągnie wodem na niebo, a potem s tego deszcz padze — mówią smutnie.

Ów deszcz niepożądany zapowiadają im, niestety i inne znaki: płyty kamienne, któremi dylują[6]) podsienia, błyszczą, jak froterowane posadzki; góry zgranatowiały i jakby przysunęły się bliżej, tak wypukle rysują się linje ich konturów i załomy powierzchni; echo przynosi wyraźnie łoskot dalekich pociągów; mentle[7]) przewyrtły się hore łapkami i śpią pod listkiem; bocany, które nigdy nie gnieżdżą się na Śląsku, teraz niewiadomo skąd się wzięły i wirują wysoko pod obłokami; salamandra wysuwa się z kryjówki, rażąc zdaleka wzrok państwową, czarno-żółtą barwą — o beje źle!

Niedługo czekaliśmy na to złe. Z rana na drugi dzień słońce wcale się już nie pokazało, a domy, ogrody, nawet dumne wieżyce kościoła utonęły w morzu mgły. Biała, miękka, cicha ściele się ona pokornie do stóp olbrzymów górskich. Ale nie dowierzajmy tej uniżoności.

— Jako ta mgła dźwignie się, a niebo wygładzi, hnetka się zapsoci — powiadają świadomi rzeczy górale.

I dźwiga się już, podnosi, zawisa u stropu niebieskiego, a moc swą czerpie z ziemi, z gór, które ślą ku niej wciąż nowe opary, niby dymy stosów ofiarnych, więc jakaż zwycięży ją siła?

Oryginalny, nieznany mieszkańcom dolin proces wytwarzania się chmur i deszczu można

[1]) Tęcze. [2]) Klaskając w rączki.
[3]) Łąki. [4]) Rumian pospolity. [5]) Mieczyków. [6]) Brukują.
[7]) Motyle.

tu obserwować ściśle, jak doświadczenie naukowe w chemicznem laboratorjum. Oto z zadrzewionej góry wzbija się białawy obłoczek mgły, myślałby kto: dym z watry [8]) pasterskiej. Potem przybywa drugi, dziesiąty, czterdziesty. Lekkie opary wnoszą się coraz wyżej, łączą ze sobą, ciemnieją i zgęszczają w chmurę, a ta opada strugami ulewy i dostarcza nowego materjału na krosna, na których tajemnicza jakaś ręka zdaje się tkać mgliste rąbki, zasłaniające świat cały.

Taka zamiana wody w chmury, a chmur w wodę trwa nieraz dni kilka bez przerwy. Góralom wprawdzie posępna aura nie odbiera fantazji.

— Dalej, jako do skóry, człowieka deszcz nie doleje — mówią filozoficznie i krzątają się raźnie koło domu i statku, smykają w lesie czetynę [9]), a nawet przedsiębiorą piesze podróże do Jabłonkowa. Ale »gość«, znalazłszy się w tym odmęcie mgieł i deszczu, byłby godną pożałowania istotą, gdyby na szarem, wilgotnem, zimnem tle gór nie było chat, w których watra i staropolska gościnność wytwarzają ciepłą, jasną, serdeczną atmosferę. Okrągłołukowe, ozdobione charakterystycznym ornamentem dwierze góralskich chat szeroko otwierają się przed gościem. Ale do kogo zaklepać? Koło naszych znajomości rozszerza się z dniem każdym, a niema tu bezbarwnych, banalnych, nudnych ludzi. Jak twarze Izdebnian, tak i dusze ich posiadają wyraźne, silnie zaznaczone rysy. Zacznijmy przegląd po kolei od sąsiadów najbliższych.

Postać zamaszysta, okrągłością kształtów przypominająca szlachciców z owej epoki, kiedy to brzmiało hasło: »jedz, pij i popuszczaj pasa«, na twarzy wyraz powagi i spokoju, jaki daje poczucie godności osobistej, w mądrem niebieskiem oku chochlik dowcipu — oto jak wygląda Jan Juroszek, prezes miejscowego Kółka rolniczego, a gorący patrjota polski. »W mojem sercu narodowość bije i bić będzie do śmierci!« — woła Juroszek w chwili gorętszych uniesień i czynem stwierdza piękne słowa, staczając zwycięskie walki z »renegatami«, z »gołymi« Niemcami, jak nazywa zwolenników libermaństwa. Skoro śnieg — na kilka metrów najczęściej wysoki — zasypie góry puchem i brylantami, wówczas Juroszek zamienia kosę na pióro i pisuje listy do nieobecnych przyjaciół lub kreśli charakterystyczne artykuliki do gazet ludowych. Lubi też czytać, a ze wszystkich dzieł, jakie się znajdują w zasobnym księgozbiorze »Kółka«, najlepiej przypadła mu do serca Trylogja Sienkiewicza. Tyle razy ją czytał, że umie prawie napamięć, a losy jej bohaterów tak żywe budzą w nim zajęcie, że chociaż należy do ludzi serdecznie pobożnych, znalazłszy się z pielgrzymką w Częstochowie, pierwej szukał bramy, przez którą wymykał się Kmicic, niż konfesjonału. Nawiasem mówiąc, powieści historyczne Sienkiewicza, przedstawiające w złotobarwnych blaskach rycerską naszą przeszłość, wywarły tu — wobec żywej tradycji o przebywaniu Jana Kazimira na śląskiej ziemi — wpływ niemały i jak przyznają sami górale — odegrały rolę pierwszego budziciela narodowych uczuć.

Drugim — obok Trylogji — ulubionym tematem opowiadań Juroszka jest Izdebne. Zna — jak nikt — teraźniejszość i przeszłość rodzinnej wioski, jej dawne zwyczaje i świeże krzywdy, to też rozmowa z nim niepospolity posiada urok.

Jeżeli prezes kółka jest żywem wcieleniem przymiotów, któreśmy przywykli nazywać zdrowym chłopskim rozumem, to jego zastępcę, Jana Śliwkę, zaliczyć chyba wypadnie do zgoła nowej zresztą kategorji górali-literatów. Czytanie stało się dla niego najmilszą rozrywką, a nawet potrzebą, nałogiem. Sam też pisze udatne wiersze, a w jego świeżej, nieco naiwnej poezji, nastrojonej zawsze na czysty i podniosły ton, dźwięczy najgłośniej struna miłości dla ojczyzny, dla utraconej przed sześciu wiekami ojczyzny! Upodobanie Śliwki do zajęć umysłowych wycisnęło piętno nawet na jego otoczeniu. W świetnicy jego chaty stoi oszklona szafka na książki i zgrabne, politurowane, własnej, ma się rozumieć, roboty biurko, zarzucone broszurami i gazetami. W księgozbiorze Śliwki, do stu dziełek obejmującym, znajdują się prace religijnej, historycznej, beletrystycznej treści, najobficiej jednak reprezentowany jest tam dział fachowy, gospodarczy. Poezja bowiem nie przeszkadza ich właścicielowi być zapobiegliwym, postępowym gospodarzem. Wytrwałą pracą stara się powetować nieurodzajność górskiej gleby: używa sztucznych nawozów, pielęgnuje umiejętnie szczepnicę, która liczy do pięćdziesięciu gatunków drzewek owocowych, trudni się wyrobem win owocowych, a w ostatnich czasach, idąc za radą i wskazówkami kierownika szkoły, p. Grani, który odegrywa tu rolę dobrego *spiritus movens,* wziął się do pszczelnictwa. To też poczestne miejsce na jego biurku zajmuje »Bartnik postępowy« prof. Ciesielskiego, które to pisemko wraz z szanownym swym redaktorem cieszy się tu ogromną sympatją. — Jesi som ze Lwowa, to można że tam kiejś setkali sie z panem Ciesielskim? — zagadywali mię nieraz górale. — O jakbychmy sie cieszyli, coby un przijechał do Izdebnego i puścił sie s nami do gadki o pszczołach! Powitalibychmy go lewem sercem, prawom rękom«.

Chętnego naśladowcę we wszelkich inowacjach i przedsięwzięciach gospodarskich ma Śliwka w Janie Skurzoku, z którym spędzają nieraz wspólnie długie wieczory zimowe, pochyleni przy świetle joniczka [10]) nad nowinami i książkami.

[8]) Ogniska.

[9]) Drobne gałęzie iglastych drzew, używane na podściółkę dla statku.

[10]) Świętojański robaczek — żartobliwa nazwa drobnego płomyku lampki.

Jan Skurzok, to bywalec; za żołnierki zwiedził kęs świata: zawandrował aż do Bośnji, gdzie zdarzało mu się i prochu powąchać i śmierci zblizka zajrzeć w oczy. Wychylenie się poza ściany rodzinnych gór wpłynęło zapewne na rozwinięcie w nim wrodzonego krytycyzmu i ciekawości. Ta ostatnia zwłaszcza stanowi dziś główny rys jego charakteru. Pragnąłby wszystko naraz poznać, o wszystkiem się dowiedzieć i tyle zadaje najróżnorodniejszych pytań przy każdej rozmowie, że mógłby w tym kierunku z powodzeniem współzawodniczyć z samym Sokratesem. Ale co dziwniejsza: krytycyzm i badawczość nie zabiły w nim zgoła wyobraźni. Zachował ją bujną, żywą, lotną, jak każde dziecię ludu, a zwłaszcza górskiego ludu. Granica między światem rzeczywistych stosunków a cudownością dla niego nie istnieje.

— A wiedzom — przerwał kiedyś rozmowę o wrażeniach wzrokowych, do której dał powód cennik jakiegoś optyka z Wiednia — wiedzom, że Janosik[1]), o którym kiejś my prawili, usz kapkem móg latać po powietrzu. A coby był zjad dziewięć serc od takich chłopców, co jeszcze na świat nie przyszli, toby latał jako lastówka[2]), ale un zjad jeny ośm, dy panowie go chycili a powiesili.

I z ożywieniem wielkiem, które aż kołysze smukłą jego postacią, mówi dalej, że na Izdebnem nie tak jeszcze dawno zemrzeła starka, której matka opowiadała, że i od niej chciał Janosik wziąść chłopca, ale dotknąwszy ręką jej czoła, poznał, że nie synkiem, lecz córeczką los ma ją obdarzyć.

A po tak śmiałem zboczeniu w krainę cudów, rozmowa wraca, jakby nigdy nic, na dawne tory i wybuchliwy Izdebnianin oburza się na jabłonkowskich kupców, którzy nie chcieli go zrozumieć, gdy żądał od nich ciepłomierza i lupy, aż zmuszony był — wbrew woli i chęci — nazwać te przedmioty po niemiecku.

„Mędrca szkiełko“ w oku, które dostrzega fruwającego w powietrzu zjadacza serc ludzkich — nie! z takiem zjawiskiem spotkać się można chyba w śląskich górach, gdzie promienie oswiaty — jakkolwiek przeniknęły już do żłabin najgłębszych — nie zgasiły tęczowych blasków pierwotnej fantazji.

Ognistem a miękkiem skrzydłem muska ta czarnoksiężnica czoło i tego oto górala, co stoi w podsieniu swej izby i blednąc ze wzruszenia, gra na gajdach[3]) nasze rycerskie pieśi i patr otyczne, które nigdzie nie rozbrzmiewają potężniejszem echem, n,ż tu, w śląskich górach. Gajdy przemawiają w jego ręku takim głosem, jakim on m każe, ale i nie słysząc ich dźwięków każdy, kto choć trochę zna się na wartości fizjonomji ludzkich, kto choć trochę umie w nich czytać, powie, spojrzawszy na pełną ducha twarz grajka, że w jego piersi pali się tajemnicza iskra, co stwarza artystów. — I powie prawdę. Jano Juroszek od przygona to pierwszy muzyk w muzykalnem Izdebnem, to chluba rodzinnej wioski. Potrafi zagrać na każdym instrumencie, jaki mu się nawinie pod rękę — dotąd próbował na dziewięciu — ale najbardziej lubi swoje skrzypce, guśli, bo „na nich wyrobim, co zechcem“ — mówi z dumą. Jakoż rzeczywiście struny tych skrzypiec odzywają się pod lekkim jego smyczkiem melodją niezliczonych bojtek[4]): i tych, które śpiewane bywają na Izdebnem, i tych, które sam układa, improwizując z równą łatwością muzykę do zasłyszanych słów, jak słowa do muzyki.

Ale nietylko śród gajdoszów[5]) niezwykły talent pierwsze mu zapewnia miejsce; snycerskie i stolarskie jego wyroby zwracają też uwagę nawet tutaj, gdzie każdy niemal góral umie obchodzić się z drzewem, bo każdy z tych wyrobów, choćby to była tylko rączka do laski, wystrugana dla żebraka, posiada pewien charakter, pewne zacięcie-artystyczne. A jedyną jego mistrzynią była cudna przyroda górska, rozwijająca poczucie i zamiłowanie piękna. Innych nauczycieli nie miał.

M. Wysłouchowa.

[1]) Legendowy Janosik i tu entuzjazmuje górali, którzy opowiadają, ile razy zdarzy się ku temu sposobność, wprawdzie każdy trochę po swojemu, o wielkich jego czynach, o dziwnych losu kolejach. We wszystkich atoli warjantach słynny zbójnik występuje jako obrońca uciśnionych, który przy pomocy nadprzyrodzonych sił zwalczał panów, aby chudobnym ludziom było lepiej.

[2]) Jaskółka.

[3]) Odmiana kobzy, starowiacki instrument, zbójnickie pamiętający czasy.

[4]) Świeckich pieśni, które się tak nazywają dla odróżnienia od kościelnych pieśniczak. [5]) Grających na gajdach.

Wiadomości bibljograficzne.

Wydawnictwa gwiazdkowe.

— Nakładem księgarni Grendyszyńskiego w Petersburgu wyszły świeżo następujące dzieła dla dzieci i młodzieży:

Marji Weryho „Opowiadania prawdziwe“, 16 powiastek dla dzieci od lat 6 do 10 z 20 ilustracjami T. Jaroszyńskiego.

Teresy Jadwigi „Nowe opowiadania ciotki Ludomiły“ z 10 ilustracjami M. Kotarbińskiego.

Walerego Przyborowskiego „Na oceanie Spokojnym“, powieść dla młodzieży z 10 ilustracjami E, Lindemana.

Władysława Umińskiego „Od Warszawy do Ojcowa“, przygody w podróży po kraju z 29 ilustracjami L. Bębnowskiego.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.